**Nr. 48.** Warszawa, dnia 17 (29) Listopada 1871 roku. ROK VII.

**Bióro Redakcyi** przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świata Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

**Opiekun Domowy** wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

# OPIEKUN DOMOWY.

**Wydawczyni, Kazimiera Mosch.**

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwartal. (wtém miesci się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycyę kop. 33¾).
**Skład główny** dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarn Ferdynanda Hösicka Ulica Senatorska Nr 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.



## PAN JACENTY.

(Ramotka).

Pan Jacenty żyjąc w czystości ducha i ciała lat trzydzieści sześć, w 37-m podległ ogromnej pokusie i... upadł jak niegdyś nasz *praszczur* Adam, skosztowawszy—ogryzka!

Jacuś nie odznaczał się ani potężną głową, ani potężną figurą—ot, był sobie poczciwina, ulepiony z gliny.. na obraz i podobieństwo Boże.

Cichy, spokojny,—w całém swém życiu nie zabił nawet muchy; nieraz oberwawszy po uszach, dla świętéj spokojności zniósł cierpliwie krzywdę i chyba cichaczem, ukradkiem, mruknął z oburzenia.

Przeszedłszy konieczne formy klasowe,—przebiwszy się, jak to mówią, piecem,— z arkuszowym dyplomem skończonego człowieka, wybiegł w świat szukając karyery.

Szczęśliwym trafem pisał pięknie, kalligraficznie,— a ponieważ nie sięgał wysoko i przestawał na małém, wkrótce też otrzymał etatową posadę... *kancellisty*.

Nawet i kamień na miejscu porasta. Jacuś siedząc w fotelu obitym skórą przez lat dziesięć, doczekał się stopnia—pod-archiwisty!

Tak niespodziewany awans wyczerpał wszelkie najbujniejsze marzenia Jacusia.

Oddany obowiązkom swego powołania, zapomniał, że poza ścianami bióra istnieje świat; że są ludzie, którym nie wystarcza wązki, zapylony kąt między szafami *archivum;* że oprócz ogromnych foljałów ujętych w tekturę, ponumerowanych, ułożonych wedle alfabetu, są jeszcze księgi, na których natura i życie piękniejsze sztychują napisy; że są inne, daleko słodsze i milsze obowiązki; że można być..... *duplikatem!!*

* * *

Jakoż....

Ale zacznijmy od początku.

Przed kilku laty pewna sprawa spadkowa wzbudziła niezwyczajną ciekawość całego miasta. Chodziło bowiem o setki tysięcy; strony zacięcie się broniły; tak, że w krótkim czasie sformowały się foljały akt i dziesiątki wyroków.

Otóż jednego dnia, rankiem około godziny 10-téj, do archiwum weszła średniego wieku dama, niepośledniéj urody. W biórze jeszcze nie było nikogo; wciśnięty poza szafy podarchiwista, właśnie wypisywał pięknym charakterem *nagłówek w Repertorjum*, gdy dziwny szelest dobiegł jego uszu; spojrzał, zerwał się.. pani zbliżyła się do stołu. Byłby się ukłonił; że jednak ściana usunąć się nie dała, a fotelu z miejsca poruszyć nie było podobna,—Jacuś dygnął tylko i, wpatrując się w damę osłupiałym wzrokiem, skubał rękaw i miał pióro w ręku.

— Czy mogłabym pana prosić o jednę łaskę?—rzekła słodkim głosem nieznajoma.

— *O! pani,*—jąknął podarchiwista.

— Potrzebuję wyciągu ostatniego wyroku...

— *A! pani,*—rzekł kiwając grzecznie głową.

— Ja panu wynagrodzę,—dodała dama sięgnąwszy do kieszeni.

— *Ależ! pani,*—wystękał skurczony urzędnik.




Śmierć Agnieszki Bernaner, w 1430 r.

— Proszę na zadatek,—mówiła dając mu rubla. Weź pan, bardzo proszę; wiém, że sprawa dawna; że w kurzu dla obcéj kobiéty brudzić się,—nieprzyjemnie. Ach, mój Boże! zajmuję panu miejsce.

To mówiąc odsunęła się na środek pokoju.

Podarchiwista skorzystawszy z wolniejszéj przestrzeni, szasnął nogami i bardzo pięknie się ukłonił.

— O! *pani*,—rzekł.

— Jakaż ja nierozsądna,—zawołała znowu dama; nie powiedziałam panu nazwiska stron processujacych się. *Koralski przeciwko Lipielski.*

— *Czwarta szafa, piata przegroda od góry, litera K., Nr 342, etykieta zielona*,—wydeklamował szybko. To mówiąc, pochwycił schodki, przeniósł je do szafy, lecz... tu nowe spadło na biednego Jacusia nieszczęście. Szafa znajdowała się wprost stojącéj damy.... jakże wejść? — bo przedewszystkiem Jacuś narazić się nikomu nie chciał i grzeczność za najpierwszy uważał obowiązek.

Dama przypatrywała mu się z zajęciem.

Jacuś szczególniéj wzroku pięknych kobiét znosić nie mógł. Spuściwszy tedy oczy i zapiąwszy mundur pod szyję, szybko się zwrócił i wykręcony przodem do nieznajoméj, tyłem starał się wspiąć po drabince. Jakoż dość szczególnie dotarł do miejsca, lecz... kiedy przyszło pochwycić akta, zapomniawszy o potrzebnéj ostrożności, zbytecznie się pochylił i... wraz z aktami runął na ziemię.

Dama okropnie krzyknęła. Jacus zerwał się na równe nogi.. z guzem na czole.

— A! *Pani*,—zawołał.

— Pan się skaleczyłeś!—mój Boże!—kto to widział tak być nieostrożnym! Przy tych wyrazach wyjęła chustkę i ująwszy w bieluchne rączki głowę nieszczęśliwego Jacusia, starała się tamować krew sączącą się z niewielkiéj ranki.

Jacuś był blizki omdlenia; woń wydzielająca się z batystowéj chustki, ciepło ręki nieznajoméj, dotykanie się powabnéj sukni kobiéty, przyprawiały go o utratę zmysłów. Lecz że to był, jak powiadam, człowiek rzadkiéj cierpliwości,—poddał się operacyi i tylko kiedy niekiedy powtarzał: *O! pani!—A! pani!—Ależ! pani...*

Nagle otworzyły się drzwi.... pani stanęła w płomieniach... Jacuś poskoczył naprzód ujrzawszy Naczelnika. Że jednak spadły volumen leżał na podłodze, zawadził się i padł po raz drugi, tuż przy nogach zwierzchnika.

— Panie Jacenty, co u licha! Sfixowałeś?

— *A! panie*,—zawołał podnoszący się podarchiwista.

— Czém mogę pani służyć ?— rzekł Naczelnik.

— *Pani*... zaczął Jacuś.

— Proszę milczeć; widzę jakieś figle...

— *A! panie*,—szepnął znowu Jacenty.

— Pozwól mi pan,—rzekła dama. Pan Jacenty nic tu nie winien; prosiłam go o wskazanie mi akt mójéj sprawy, wszedł właśnie po schodkach i spadł; pobiegłam do niego z pomocą, gdy pan Naczelnik niespodziewaném wejściem spowodowałeś powtórny jego upadek.

Naczelnik się rozśmiał; pani tuliła do ust chusteczkę; Jacuś jąknąwszy parę razy jeszcze swoje: A! pani, O! pani,—na nowo zabrał się do pisania.

Po chwilowéj rozmowie z Naczelnikiem, pani odeszła.

— Ej! ej! panie Jacenty, — rzekł przełożony. Coś w tém jest!.. Niedarmo wdówka trzymała pana w swoich objęciach.

— O! panie Naczelniku!

— No, no, nie tłómacz się... I ja w pańskim wieku płatałem figielki... takie oto sobie ciche, spokojne.

— A! panie..

— Wiém, wiém!—rzekł poważnie Naczelnik.

Jacuś się wcale nie bronił.

Godziny upływały,—wybiła pierwsza,—potém pół do drugiéj,—summarjusz jednak rozpoczęty literą K. nie postąpił ani kroku. Jacuś (co mu się nigdy nie zdarzyło!) siedział zamyślony, wodząc bezwiednie piórem po papiérze.

Około 2-giéj, Naczelnik zbliżył się do stolika i nagle z podziwienieniem krzyknął:

— Co pan robisz, u djabła?

Porwał papiér ze stołu, popatrzył:

— Pan masz bzika, panie podarchiwisto! Czy kto słyszał! Na całym arkuszu jakieś gzygzaki, kółka, krzyżyki, zakręty! *Lipielski, Koralski, Koralski, Lipielski, Lip, Koral, Lipski, Korski, Korlipski, Lipkorski*. A niechże pana Pan Bóg sekunduje! Zwarjował, doprawdy!

Jacenty nie dosłuchał końca, porwał za czapkę i... w nogi.

* * *

Dziwne figle płata czasem miłość!

Ot pan Jacenty, człowiek ze wszech miar porządny, urzędnik nieposzlakowany — pilny—pracowity, od tygodnia nie pokazał się w biórze. Kiedy nareszcie zjawił się w archivum, zadziwiła wszystkich nadzwyczajna w nim zmiana. Jacuś należał do tak zwanych ludzi staréj daty, mody nie pilnował, nie używał pomady, nie nosił ani binokli, ani *szapoklaka;* podpierał się ogromnym bambusem ze złoconą gałką i nawet... zażywał tabakę.

Tymczasem teraz wystąpił w krochmalnych, stojących kołnierzykach, w rureczkach, aljas *modestach*.. w kurcie, w koszuli z żabotami i—całkowicie wygolony.

Po przywitaniu go, Naczelnik małą palnął mu oracyą o sumienności urzędnika; na co Jacenty nic nie odpowiedział, ale po dawnemu zasiadł przy stoliku i utonął w jakimś ogromnym foljale.

— Panie Jacenty, proszę o akta N. 6 lit. Z.

Podarchiwista zwinął się szybko, podając akta.

Naczelnik pokiwał tylko głową.

— Panie Jacenty!—zawołał po chwili. Akta sub lit, K. Nr 80.

Jacuś wypełnił rozkaz.

Tym razem przełożony skoczył rozgniewany.

— Co się z panem dzieje? Pierwsze akta są to *pozwolenia na wstąpienie w związek małżeński urzędnikom*, a zamiast drugich, podałeś *swoje osobiste*.

— *A! panie*,—rzekł podczerwieniały podwładny.

— Wstydź się pan, do djabła! Pan taki stateczny, dojrzały mężczyzna, pozwoliłeś się opanować niewieściemu widziadłu. O czém pan myślisz!—krzyknął, kiedy Jacenty najspokojniéj wczytywał się w książkę, którą pochwycił z półki.—Co pan robisz do kroćset! Co to jest?

— Kodex francuzki...

Naczelnik wyrwał mu tom z ręki. Jacuś właśnie przeglądał prawo z r. 1836 o małżeństwie.

— To pan o tém myślisz? — Winszuję, ale nie zazdroszczę!

— Wszak pan... Naczelnik... ma... żonę!

— No mam, albo co?

— Panie Naczelniku Dobrodzieju—pan... Naczelnik... szczęśliwy człowiek!

Ledwie wykrztusił tyle od razu wyrazów, gdy nagle otworzyły się drzwi. Weszła pani... Koralska.

Biedny Archiwista stracił mowę, słuch, ruch, myśl, wzrok—stężał na miejscu.

Pani raczyła się do niego uśmiéchnąć:

— Dzień dobry panu!—rzekła.

— A! pani,—machinalnie wybąknął archiwista i... cichaczem wysunął się z pokoju.

* * *

Mimo naszéj dyskrecyi, musimy zdradzić pana Jacentego. Biédak, dwa z kolei miesiące walczył z widziadłem prześladującém go na jawie i we śnie,—w biórze, w domu, na przechadzce, przy obiedzie... nawet w kościele. Walczył jak przystało na rycerza dawnych czasów, walczył... o posiadłość niesporną, uświęconą prawem Bozkiém i ludzkiém—walczył o własne serce!

I niestety! przekonał się, że myślą pozostał na zawsze w papiérach, w aktach, w repertorjum *archivum;* że ciałem wrósł w krzesło, w którem nawet doczekał się znaku nieskazitelnéj służby za lat XV, ale serce...... postradał na wieki; że, jak się sam dobitnie wyrażał, postradał *dowód optimacyi własnéj egzystencyi.*

Śmiałkiem targającym się na własność Jacentego była.... pani Amalia z Lipielskich Koralska, wdowa po Emeljuszu Koralskim, nieboszczyku swym mężu.

Jacuś studjował prawo; do prawa też udać się postanowił. Perswazye nic nie pomogły; mimo przestróg Naczelnika, mimo wreszcie żartów kolegów, podarchiwista dał dowody niezaprzeczonéj woli. Jako energiczny człowiek, podał prośbę do właściwéj władzy i pozwolenie ożenienia się uzyskał. Zaopatrzony w tak ważny akt, zgromadził dokumenta, uporządkował ostatecznie akta osobiste i... zebrawszy siły, a raczéj wytężywszy wszystkie władze intellektualne umysłu, przystąpił do wystylizowania *małżeńskiego pozwu.*

Po trzech dniach ciężkiéj pracy, po wypiciu kilkudziesięciu szklanek wody, zepsuciu dwóch liber listowego papiéru, wylaniu na stół atramentu z dwóch kałamarzy,—ostatecznie tak żądanie swoje *zredagował:*

„Zacna, swego imienia, pani!

Wielkim to faktem w *kurikulum* mego żywota, było zjawienie się pani w miejscu naszych posiedzeń, w domu pod Nr. NN. przy ulicy NN. w dniu 13 Marca 18.... w godzinie przeznaczonéj do zwykłych zajęć biórowych. Byłaś stroną *powodową*, żądającą wypełniłem żądanie. Wypełniłem obowiązek *ex officio*, jak przystało na-

urzędnika mojego stopnia, lecz czyś Ty Pani, odwołując się wprost do mnie, a pomijając właściwe stopnie hierarchii, postąpiła prawnie,—Bóg tylko jeden, Najwyższy Sędzia, sądzi. Z wypisem urzędowym wyroku zapadłego w ostatniéj instancyi, w sprawie Koralski p-ko Lipielski, zabrałaś jako *annex*... moje serce! Czy się to godzi?.. Nie jestem człowiekiem samowoli, bym barbarzyńską siłą chciał ci wyrwać to, czego posiadania nie mogłabyś dowieść nawet... *przedawnieniem*. Nie, pani! Czuję, że albo drogą prawa wywalczę moję własność, albo uważając fakt jako spełniony,—bezsilny wobec ciebie,—własném nazwiskiem pokryję twój niecny postępek. Tak być musi. Zapozywam cię więc przed trybunał Najwyższego i, jako strona *powodowa*, komunikuję wywód sprawy. Regestratura moja czysta; o czém przekonywają tu dołączające się akta osobiste. Nigdy nie prawowałem się z nikim. Dość, jeżeli występuję, mam słuszne do tego powody. Nie zżymaj się pani,—przegrasz sprawę. Gdybyś jednak postanowiła się bronić, odwołam się do przysięgi deferowanéj i zażądam, aby w razie ewentualnym i serce twoje i osoba, *wyrokiem pod rygorem teraźniéjszéj exekucyi*, mnie przysądzone zostały. W każdym zaś razie, będę domagał się naznaczenia *przysięgi z urzędu*, jako będący *przy początkowym dowodzie;* posiadam bowiem pozwolenie żenienia się. Proszę o odpowiedź.

Twój przeciwnik, a jak Bóg pozwoli w przyszłości, nierozłączony towarzysz i mąż Jacenty, herbu topor Toporkiewicz, podarchiwista i kawaler znaku nieskazitelnéj służby za lat XV."

Zapieczętowawszy list herbową pieczęcią, Jacuś wysłał go przez miejskiego posłańca.

Jak łatwo przewidzieć, odpowiedź zaraz nie nadeszła. Pani, korzystając z 8-o dniowego terminu prawnego do złożenia wywodu strony prawnéj, zbierala potrzebne do sprawy dokumenta, a przedewszystkiem sprawdziła tożsamość osoby *powoda*, tożsamość podpisów na dokumentach objaśniających przebieg życia Jacusia i tym sposobem, zbadawszy przedmiot saméj sprawy, nadto poradziwszy się naturalnych doradców jéj wdowiego stanu: serca i sumienia,—nadesłała dziewiątego dnia po dacie listu, następną odpowiedź!

„Zacny panie Jacenty, herbu topor, Toporkiewicz.

Fakt podany przez pana, we względzie prawnym jest najzupełniéj zasadny; pod względem zaś czysto-moralnym, przyznaj, czy i na tobie nie ciąży wina? Może to nazwiesz *przyznaniem strony przeciwnéj?*—zrób tak lecz przyznaj żeś i ty dopuścił się mimowolnego zaboru. Dlaczego było prześladować mnie ciągle? dlaczego nie dałeś mi nigdy przejść, abym cię nie spotkała? dlaczego kłaniałeś mi się z takim szacunkiem? Dlaczego nie *postawiłeś mię w zwłoce?* Dlaczego żadnym czynem nie przerwałeś płynących terminów do *przedawnienia?* Powiadam, jesteś winien i do obrony nie masz prawa. Jako kobiéta, nie znająca się na prawie, radabym na drodze polubownéj załatwić spór. Ponieważ jednak serca twego, jakiém ono było dawniéj, zwrócić nie mogę,—więc przyjmij moje w kapitale, a w procencie moję... rękę. Nie myśl jednak, żebym równie do przysięgi nie mogła się odwołać, abym nie potrafiła ją ci referować. Dowód twój początkowy nie tyczę się saméj sprawy, bo ona z różnych pochodzi źródeł i przyczyn; jak ty tak i ja, moglibyśmy przysiądz na czyny osobiste—a zatém... niech będzie w najgorszym razie... przysięga z urzędu... u Kapucynów, na Miodowéj ulicy.

Amalia, 1-go ślubu Koralska; in spe secundo voto—Toporkiewicz."

Nie żądam repliki.

Jacuś otrzymawszy takie *dictum*, oniemiał... z radości; ucałował papiér, na którym drogiéj rączki były ślady, opłacił wpis w zakrystyi i powołał przed wielki ołtarz... *obżałowaną* i świadków.

Oboje, wbrew procedurze cywilnéj, wykonali przysięgę z urzędu... *Wyroku* żaden najzdolniéjszy pisarz *zredagowaćby* nie potrafił, ale zredagowały go chóry Aniołów w Niebie, i Bóg w księdze losów ludzkich... *sentencyą* zapisal. *S. M.*

# POTWORNOŚCI W PRZYRODZIE

(Z teratologii).

Nauka zajmująca się badaniem zboczeń, zachodzących w organizmach, przyjęła nazwę *Teratologii*. Zadaniem jéj wszakże jest śledzić tylko zboczenia, z którémi rodzi się człowiek lub zwierzę.

Potworności więc wynikłe z wypadku, w życiu późniejszém, lub z chorób, jak niemniéj przyczynione sztucznie przez obrzydliwych spekulantów jestestwom żywym, nie należą wcale do rozbiorów teratologicznych. Nazywamy *potworami* nieszczęsne istoty, których ciało pokrzywione, pogięte, niekształtne, wzbudza w nas pewną odrazę; a przecież właściwiéj byłoby napiętnować powyższą nazwą tych nędzników, co w widokach zysku, torturują członki biednych dzieci. Oprawcy ci są iście potworami w najrozleglejszém znaczeniu tego słowa.

Zacznijmy od zboczeń, których twórczynią — natura.

Dzięki postępowi cywilizacyi nie żyjemy już w czasach, gdy *potwory* wzbudzały przestrach, oburzenie, a co gorsza ulegały prześladowaniu uprawnionemu przesądem. W wiekach wszakże ciemnoty, które *średniémi* nazywamy, jak również w starożytności, potwory uważano za zwiastunów głodu, wojny, zarazy—przeciw nim zbroiło się prawo, równie jak lud zabobonny. Aż do XVII stulecia prawa greckie i rzymskie skazywały na śmierć dzieci dotknięte jakiémkolwiek kalectwem. Kiedy lekarz Riolan w r. 1605 ogłosił, że niepotrzeba już tępić karłów, olbrzymów i ludzi sześcio-palczastych, że raczéj wypada wystawiać ich, jako ciekawe okazy, na widok publiczny, — poczytywano mu to za śmiałość nieposplitą, jakkolwiek tenże sam Riolan na wszelkie inne potwory bezlitośnie wydawał wyrok śmierci. Podanie o zwyczaju barbarzyńskim tępienia tych nieszczęśliwych istot, przechowało się jeszcze do dziś dnia w ustach ludu, zwłaszcza też w krajach południowych Europy. „*Potrzeba dusić potworów*" — mawiają wieśniacy Bretońscy.

Nie możemy się dziwić prześladowaniu jakiemu ulegali wtedy ludzie upośledzeni od natury. Przed stu dwudziestu laty jeszcze panowała ciemnota w wyższych i niższych warstwach społecznych co do téj rzeczy. W owych czasach jeszcze przysłuchiwano się z pewną obawą fantastycznym powieściom o karłach i olbrzymach; rozpatrywano lękliwie szpetne, pokoszlawione figury jakiémi przepełnione były dzieła Amrożego Paré, Ulissesa Aldrovande'go, Fortunata Liceti i Gaspara Schotta. W wizerunkach tych wszakże, równie jak w opisach bohatérów bajecznych, kryła się zaledwie cząstka prawdy. Rysunki wspomnione nie były wcale kopjowanemi z natury — wyobraźnia to karykaturowała najprzeróżniéj dziwotwory. Członki kalek wykręcano na papierze w sposób nieprawdopodobny; przedstawiano w stanie dojrzałości takie postacie, które nie oglądały nigdy światła dziennego. Często też łatwowierni wędrowcy podawali fakta niedołężnie obserwowane, nie kusząc się bynajmniéj o ich sprawdzenie. W podobny to sposób ludy żyjące w barbarzyństwie, widząc pierwszy raz jeźdźców konno galopujących, wyobrażały sobie, że kawalerzysta i koń stanowiły jedno ciało. Ztąd zrodziło się podanie o Centaurach.

Szarlatani handlujący osobliwościami, fabrykowali często zwierzęta, poskładane z rozmaitych cząstek, należących do odmiennych gatunków, a to z taką sztuką, że zaledwie wprawne oko specyalisty mogło podstęp rozpoznać. Niejeden naturalista w błąd wprowadzonym został. Cuvier nawet powołany jednego razu do zaopinjowania: czy ryba wielkich rozmiarów okazywana mu jako dziwo, była wytworem naturalnym dwóch małych rybek z sobą połączonych, zastanawiał się długo, nim wykrył oszustwo. Trudniącym się wypychaniem zwierząt, łatwo jest dodać głowę lub inne członki, do różnych gatunków zwierzęcych należące. Podobnego rodzaju operacyj można też dokonywać na zwierzętach żywych, i wytwarzać potwory tak zwane — *podwójne*.

Dopiero w połowie XVIII wieku przesądy zaczęły słabnąć — potwory stały się więcéj przedmiotem ciekawości i podziwu niż wzgardy i wstrętu. Wszakże niewcześniéj jak w początkach wieku bieżącego, potworności natrafiane w przyrodzie poddane zostały badaniom naukowym, które rozświeciły wiele rzeczy w anatomii i fizylogii. Odtąd też wszelkie zboczenia naturalne, uważać możemy nie za wypadki ślepego trafu, lecz za objawy wytwarzane pod wpływem praw określonych — za następstwa, które w wielu razach możemy sami dowolnie sprowadzać.

W przeglądzie naszym będziemy się starali określić jedynie zboczenia, stwierdzone przez naukę, prostując przytém niektóre fakta błędnie podane, skarykaturowane przez zbyt nieopatrzną wyobraźnią, miłującą się w powiększaniu, i tak już dostatecznéj, ułomności dwiwotworów.

Izydor Geoffroy Saint - Hilaire, rozklasyfikował nieprawidłowości przyrodzone na pewne kategorye, opierając się: na *braku organów*, na ich *ilości*, *połączeniach*, *położeniu*, *objętości*, *kształcie*, *składzie elementarnym* i na *kombinacyach* tych wszystkich warunków z sobą zjednoczonych.

Nie wszystkie rodzaje potworności przedstawiają cechy poważne, zarówno znaczące. Zboczenia w kręgach, żebrach, palcach, zębach, w członkach ruchu u zwierząt, w pierścieniach u owadów, w ich mackach, — nie szkodzą w niczém funkcyom życia i przechodzą niepostrzeżenie.

Do najmniéj ważnych potworności zaliczamy w pierwszéj linii *Skarłowaciałość* i *Zolbrzymiałość*.

Karły rodzą się we wszystkich krajach. Quetelet opisywał kilku napotkanych w Belgii, w wieku bieżącym — wzrost najmniejszego z nich nie przechodził dwudziestu cali polskich. Podania Nicefora Kalista o karle egipskim wielkości kuropatwy, i poety Arystratusa o drugim pigmeju tak maleńkim, że z trudnością można go było dostrzedz, nie zasługują na żadną wiarę. Skarłowaciałość uważa się pospolicie za stan chorobliwy. Nie przytrafia się wcale pomiędzy zwierzętami żyjącemi w dzikości. W czasach, gdy karły były przedmiotem zabawki książąt i magnatów, — namnożyło się wielu ohydnych przemysłowców, wstrzymujących rozwój organizmu nieszczęśliwych dzieci, których w tym celu torturowali bandażami.

Olbrzymy mają też swoję historyą bajeczną. Akademik Henrion w r. 1718 dawał Adamowi 123 stóp wysokości, Ewie 118 stóp, a potomkom téj pary wzrost stopniowo się obniżający.

Wymiar wzrostu tradycyjnych naszych prarodziców, oznaczany przez Henriona, nie ma żadnych podstaw naukowych, niewiele bowiem może znaczyć, że go takim przyjmowała starożytność. Zresztą mniemane kości wielkoludów, znajdowane w rozmaitych epokach, pochodziły od mamutów, mastodontów, olbrzymich jaszczurów, wielorybów i innych kolosalnych zwierząt.

Najwynioślejszego wzrostu ludzie, nie przechodzą nigdy 8—9 stóp wysokości, jak to wielokrotnie sprawdzoném zostało. Olbrzym Goljat, o którym wspomina pierwsza księga królewska, nie przechodzi zapewne téj wysokości.

Olbrzymy są zwykle słabi ciałem i umysłem, powolni i leniwi, żyją téż krótko.

Berkeley, żyjący w zeszłym wieku, zdołał przy użyciu pewnych środków hygienicznych, wychować dziecię dochodzące ośmiu stóp wysokości. Olbrzym ten umarł w dwudziestym roku życia, już starcem zużytym.

Wpośród fauny nie napotykamy zolbrzymiałości.

*Wzrost* ulega zwykle powstrzymaniu w epoce dojrzewania, przedstawiając niekiedy nieprawidłowości wybitne. Paryzka Akademia Nauk w r. 1758, podała jako kurjozum wiadomość o dziecku osobliwém, które w szóstym roku życia dochodziło sześciu stóp wysokości i miało zarost na brodzie okazały. Odtąd wszakże przestało wzrastać i wkońcu zostało garbatém.

Powiększanie i zmniejszanie się ciała, niezawsze odbywa się w odpowiednim stopniu. Niekiedy głowę olbrzyma widzimy osadzoną na ramionach karła, przyczém inne części organizmu są również nieproporcyonalne. Niektóre indywidua objawiają usposobienie do nadmiernego rozwoju w sobie tłuszczu, świadectwem tego kobiety Boszymańskie, które nakształt wielbłąda dźwigają z tyłu poza sobą narośl tłuszczową. W wielu razach następuje nagła przerwa w rozwoju jednéj części ciała, a natomiast niezmiernie szybki rozrost innéj części tegoż organizmu. Jeden organ rozwija się w ten sposób kosztem drugiego.

Zdarza się téż często, że organa, zachowując objętość normalną, mogą ulegać zboczeniu w *kształcie*. Niekształtne głowy (zwłaszcza u idjotów), członki przeróżnie powyginane, napotykamy tak u człowieka jak u zwierząt.

Nieprawidłowości *w barwie* są również znaczącemi. Wiadomo, że zabarwienie skóry ma miejsce tylko na jéj powierzchni. Materya barwnikowa (Pigment) wytwarza się wewnątrz naskórka, i stosownie do większego lub mniejszego jéj zasobu, indywiduum staje się czarném, białém, lub przyjmuje odcienia pośrednie. Przyczyna zboczeń w barwie jest nam nieznaną. U albinosów nie znachodzimy wcale barwnika, u murzynów zato gromadzi się on w niepospolitéj obfitości, dochodzącéj do maximum.

Stopniowe przejścia między témi barwami nie wiele są wybitne. Zwierzęta przedstawiają téż wiele przykładów albinizmu i barw mięszanych, nawet żyjące w stanie dzikim. Jeżeli mięszaniny są tylko cząstkowe, tworzą plamy, podobne do niektórych przedmiotów, przypisywane zwykle wrażeniom, jakie odbierały matki tak naznaczonych mieszańców. Jedną z owych plam charakterystycznych miała na piersi dzieweczka, urodzona w r. 1795 w Valenciennes. Plama ta przypominała kształtem czapkę frygijską. W oczach rządu owoczesnego, było to dostateczném do przyznania matce dziecięcia dyplomu patryotki, i wyznaczenia jéj pensyi dożywotniéj 400 franków. *(D. c. n.)*

# CIEKAWE SZCZEGÓŁY
## Z ŻYCIA NIEKTÓRYCH ZNAKOMITOŚCI MUZYCZNYCH.

*(Ciąg dalszy.)*

Nieszczęścia, pochodzenie ludowe i artystyczne, organizacya wyjątkowa i kształcenie zależne od wichrów fortuny, objaśniają nam lepiéj bujny kwiat tego sympatycznego geńjuszu. Rozrzuca zarówno ogień zmysłów i gorączkę pracy. Gorycz wielu upokorzeń, zmięszana z upojeniem tryumfu i sławy, podsyca i udręcza jego ducha; miłość go obejmuje płomieniem. Wszystko co kochał, wlewał w muzykę. Ztąd taka dramatyczność i te tony namiętne w *Don Juanie*, którego śpiewaczki włoskie nie umiały wyśpiewać. Często (w ostatnich jego dziełach) wpośród najwdzięczniejszéj melodyi, ton się zmienia; akordy głębokie, poważne, wymykają się artyście, jak gdyby nagle śród ognia natchnienia uderzyło myśl jego surowe przypomnienie o śmierci.

Nadzwyczajna praca kompozycyi nużyła go do omdlenia, tak iż trzeba go było przenosić z łóżka do fortepianu; gdy zaś byt jego się polepszył, affekcya nerwowa dziedziczna zwiększyła się straszliwie, rozniecona chorobą piersiową. Wówczas to myśl o śmierci, śmierci, którą widział posuwającą się naprzód,—nadała ostatnim jego utworom charakter powagi, którego nie było w piérwszych dziełach, i któréj nie byłby może nigdy dosięgnął po młodości, tak szczodrze szafującéj darami natury. Natchnienie dało mu teraz geńjusz dramatyczny. Zawdzięczał go dramatom odbywającym się w jego piersiach. Potrzebaby tu przytoczyć cały szereg dzieł tego rodzaju, począwszy od *Don Juana* aż do *Fletu czarodziejskiego* i do *Requiem*, które skomponował śród boleści przedśmiertnych.

Beethoven podobnym był do Mozarta pod względem organizacyi swojéj, lecz życie jego mniéj burzami zwichrzone, przedłużyło się znacznie. Nadzwyczaj nerwowy jednak, hippochondryczny, melancholijny i hołdujący płci pięknéj, — wiódł żywot podobny do żywotu Mozarta.

Piérwszą naukę muzyki pobiérał od ojca, będącego tenorem kościelnym w Bonn, u elektora Maksymiliana Fryderyka, nad brzegami Renu — rzeki poezyi i legend. Dziad Beethovena, kapelmajster i śpiewak-basista, kierował niegdyś operami w teatrze narodowym wystawionym przez elektora. Największy sukces miał w *Amor artigiano*. Mały Ludwik przywiązał się czule do niego. Dziadek ów, był to silny, małego wzrostu mężczyzna, z oczami bardzo żywémi—jako artysta wielce szanowany. Beethoven średniego był wzrostu, kościsty, z pozorem siły na piérwszy rzut oka, lecz rzeczywiście bardzo wątłego i zmiennego zdrowia. Od 26 roku życia uczuwa w sobie piérwsze oznaki rozlicznych chorób. Dowiadujemy się o tém z jego własnéj korrespondencyi, prowadzonéj z przyjaciółmi i kolegami, Wegelerem, Breuningiem i Ferdynandem Riesem. W r. 1800 (25 Stycznia), mając lat 29, pisze do Wegelera, donosząc mu o polepszeniu fortuny i o kompozycyach, które mu zaczynają dawać kawałek chleba: „Już się nie targują ze mną — podaję cenę i płacą mi; przyznasz, że to piękna rzecz.“ Potém dodaje, zwierzając się swemu przyjacielowi, będącemu lekarzem: „Na nieszczęście zazdrosny demon, moje złe zdrowie, rzucił kamieniem w mój ogród, czyli, że słuch mój przytępia się codzień bardziéj już od trzech lat. Nadto cierpię boleści w kiszkach, które teraz w okropnym są stanie.... Wuszach mi szumi dniem i nocą. Mogę téż powiedzieć, że pędzę nędzny żywot! Od dwóch lat unikam towarzystw, boć jest niemożebnem abym mówił wszystkim: *głuchy jestem*. Gdyby sztuką moją nie była muzyka, uszłoby to jeszcze; lecz tak, słabość moja jest nie do wytrzymania męczarnią. A potém, nieprzyjaciele moi, których liczba nie mała, cóżby powiedzieli, wiedząc o tém? Aby ci dać wyobrażenie o téj głuchocie mojéj, powiem ci, że w teatrze zmuszony jestem stać tuż przy orkiestrze, jeżeli chcę słyszeć śpiewaka; tonów wielkich i średnich instrumentów lub głosów, nie słyszę w najmniéjszém oddaleniu,—ale, co zabawniejsza, są tacy, którzy rozmawiając ze mną, nie domyślają się że nie słyszę. Ponieważ jestem roztargniony, więc składam to na ten rachunek, a przecie zaledwie słyszę tego, który mówi ciszéj,—słyszę tony, lecz nic nie rozumiem. Do czego to wszystko dojdzie, Bóg jeden wié!... Proszę cię, nie mów o tym moim stanie nikomu.... nawet Eleonorze!“ Eleonora de Breuning, późniejsza pani Wegeler, była towarzyszką młodości Beethovena. Być może, że na jéj pamiątkę nazwał zrazu *Eleonorą* operę, która później otrzymała tytuł *Fidelio*. W r. 1809 (13 paźdz.) brat Eleonory, Stefan de Breuning, inny przyjaciel Beethovena, pisze do Wegelera: „Nie uwierzyłbyś jaki straszliwy wpływ wywiéra na niego strata słuchu. Pomyśl, jaką może być świadomość tego zła, przy takim burzliwym charakterze! Ztąd pochodzi jego nieufność, podejrzliwość, często w stosunkach z najlepszymi przyjaciołmi...“ Jakkolwiek Beethoven irrytował i unosił się aż do obelgi, to wszakże umiał jeszcze serdeczniéj przepraszać. Można się o tém przekonać z listu do Eleonory datowanego z Wiednia 1793: „Szanowna Eleonoro, moja czcigodna przyjaciołko! Od roku jak mieszkam w Wiedniu, piérwszy dopiero list otrzymujesz, a przecież bądź pewna, że jesteś zawsze obecną memu sercu. Często rozmawiam duchem z tobą i z całą twą rodziną, a rozmawiam nie bez wyrzutów. Gdym sobie wspomniał owę fatalną dy-

skusyą, postępowanie moje wydało mi się szkaradném. Lecz złe już się stało. Ileżbym dał, aby módz zatrzéć ów mój postępek! Bezcześci mnie, będąc wręcz przeciwnym memu charakterowi. Prawda, że wiele okoliczności oddala nas wzajem od siebie, lecz i to prawda, że powtarzanie tego, co jeden mówił z drugim, było, jak sądzę, główną przyczyną nieporozumienia. Cóż robić! Każdemu się zdawało, że mówi z głębi przekonania, a to gniéw tylko, raz zapalony, dyktował słowa. Twój szlachetny charakter, przyjaciółko, daje mi pewność, żeś mi już dawno przebaczyła, — lecz mówią, że skrucha najszczérsza polega na przyznaniu się własném. Więc spuśćmy już zasłonę na tę przykrą historyą, zachowując sobie naukę, że gdy przyjaciele się pokłócą, znieść się zaraz wprost z sobą winni, nie posługując się natomiast żadnymi pośrednikami. Przyjmij wraz z tym listem moję dedykacyą; chciałbym tylko, ażeby dzieło było godniejszém ciebie. Męczono mię tutaj o wydanie tego utworu; więc korzystam ze sposobności, droga Eleonoro, aby ci dać dowód swego szacunku, przyjaźni i ciągłéj pamięci o całéj twéj rodzinie. Niechaj rzecz ta będzie przypomnieniem czasu, którym tak mile przepędził w waszym domu. (W owym czasie dawał on lekcye na fortepianie Eleonorze. Dzieło dedykowane, były to waryacye z piosenki Figara: *Sei vuol ballare....* Późniéj zadedykował jéj jeszcze małą sonatę.) Kończąc list mój, ośmielam się prosić o kamizelkę angorową, wyszywaną twémi rękami.“ (Jakto przypomina Charlottę, rozdającą kromki chleba z masłem, w obecności rozgorzałego Werthera!)

Otóż choroby były główną przyczyną zmienności charakteru Beethovena, jego gwałtowności, dziwactwa, odstrychnięcia się od towarzystw, — melancholii odbijającéj się w jego dziełach smutkiem patetycznym. Czyż może być większa męka dla geńjalnego muzyka, nad głuchotę? Ztąd tyle cierpień i tyle burz!... Lecz pomijając te przelotne gniewy, był dobrym i litościwym. Wychował siérotkę brata swego Kacpra. Pisze w r. 1816 do Weglera: „Jesteś ojcem, ja nim także jestem, choć nie mam żony.“ Czasem mu błyśnie i jasny promień na zachmurzonym zwykle widnokręgu. Raz pisze do swego przyjaciela: „Zaczynam bywać w towarzystwie. Nie wierzysz jakie życie samotne i smutne pędziłem od dwóch lat; głuchota moja wydawała mi się widmem, więc uciekałem od ludzi...... Zmianę wywołało młode i rozkoszne dziewcze, które mnie kocha i które ja kocham także. Pierwszy to raz czuję, że małżeństwo uszczęśliwić może. Na nieszczęście położenie jéj społeczne nie jest mojemu równe... Czuję, że młodość moja teraz się zaczyna... Gdybym tylko nie był tak zawsze chory!“ W lecie r. 1806 (miał wtedy 35 lat), udał się do wód mineralnych do Węgier, spodziewając się tam chorobie zaradzić. Ztamtąd pisze trzy listy do swojéj Juliety, wysłane przez Schindlera. Kto był tą Julietą,—Beethoven nie zwierzył się nikomu; ale listy świadczą, że nieprzełamana jakaś tama stała na zawadzie jego połączeniu. Fatalność ta natchnęła go Sonatą *ut diez minor* i Symfonią w *si bemol*, skomponowaną w r. 1806. Równocześnie pisał Symfonią w *ut minor* i Symfonią *pastorale*, datowane z dwóch lat późniejszych. Symfonia w *la* skomponowaną była późniéj, jako wzniosła medytacya duszy zapalającéj się, mimo cierpień, większą coraz miłością. Listy do Julietty są krzykiem namiętności, jakkolwiek słowa źle ją tłómaczą. „Pierś moja pełną jest wszystkiego, co ci powiedziéć mam. Są chwile, w których widzę, że słowo jest niczém“. W muzyce zato umiał rozlać niezmierną czułość, przepełniającą serce. Nie mogąc miéć żadnego ze szczęść tego świata, uważał sztukę swą jako świętą mowę, mogącą wznosić ku Bogu ludzkie namiętności. Z niéj urobił sobie skrzydła, które go unosiły w wolniejszą i jaśniejszą dziedzinę. Każdy kochający znajdzie w téj muzyce bicie swego serca, bo jest ona najprawdziwszym wyrazem uczuć ludzkich. „Lecz ten, ktoby godnym był przeniknąć tajemnice, których się zaledwo domyślać można — pisze p. Dumesnil — zrozumié, o ile namiętność dochodzi w téj muzyce do heroizmu, przedzierzgając się w miłość wieczną“... „Boże! — pisze Beethoven do ukochanéj — patrz na piękną naturę i ukochaj Twoję duszę oburzającą się na konieczność.... Miłość nasza budynkiem jest wiecznym, tak jak cytadele niebieskie“.

Zkądinąd, o ile wierzyć zechcemy innemu z biografów i przyjaciół Beethovena, miłostki jego niedługo trwały. Ferdynand Ries tak mówi: „Beethoven bardzo lubił towarzystwo kobiét, szczególniéj młodych i ładnych. Zazwyczaj, gdyśmy razem przechodzili mimo pięknéj dziewczyny, odwracał się, przypatrywał jéj przez lornetkę, a spostrzegłszy, że ja to widzę, uśmiechał się szyderczo. Bywał bardzo często zakochanym, tylko na krótko. Gdym raz żartował sobie z odniesionego przezeń zwycięztwa nad pewną damą, przyznał się, że w niéj kocha się już najdłużéj, bo... siedem miesięcy!“

„Natury kapryśnéj i chorobliwéj, gdy czasem był wesoły – pisze ten sam biograf — wpadał w szał prawie. Rzadko mu się to zresztą zdarzało—Beethoven nigdy nie potrafił się trzymać środka.“

Lubował się wsią, tak jak Rousseaux, z którym ma wiele podobieństwa. Dalekie odbywał spacery, pracował chodząc, zbiérając oczami przynajmniéj, gdy uchem nie mógł, świéże modulacye dla symfonij pastoralnych i tylu dzieł innych, godnych uwielbienia.

„Jakże mnie bolało — pisze — gdy który z moich przyjaciół, idący tuż ze mną, nadstawiał nagle ucho na melodyą jakiéjś, z daleka dosłyszanéj muzyki, a ja nic, nic z niéj uchwycić nie mogłem! Byłem w takiéj rozpaczy z tego powodu, żem sobie raz o mało życia nie odebrał! Tylko wspomnienie na sztukę mnie wstrzymało; zdawało mi się albowiem, żem nie powinien porzucać tego świata, dopóki mu nie wyjawię wszystkiego, co czuję. Dlatego wiodę daléj to nędzne życie, oh, nędzne! z organizacyą zdenerwowaną... A w innem miejscu: —Ah! gdybym gdzieś nie czytał, że człowiek nie powinien odbiérać sobie życia, dopóki może zdziałać coś jeszcze dobrego,—jakżebym był dawno popełnił samobójstwo... Oh! życie piękném jest, lecz dla mnie, dla mnie... zatrutém na zawsze!“

Słyszał więc własną muzykę tylko w głębi serca i to jeszcze wtedy, gdy nie cierpiał. Podczas oblężenia Wiednia przez Francuzów w r. 1809, grzmot armat oddziaływał boleśnie na słuch jego. Aby go nie słyszeć, chował głowę w poduszki i uciekał do piwnic. W tymże roku właśnie przyjął posadę kapelmistrza u króla Westfalii Hieronima Napoleona, co zdawało się byt jego nieco ustalać; lecz kiedy w tym celu miał już wyjeżdżać, zatrzymano go w kraju. Choroba jego ciągle się pogorszała. Następnie doszło do tego, że nie mógł już wcale ruszyć się z miejsca. W wolnych od cierpień chwilach, czytywał Homera, mianowicie Odysseę jego, odnajdując w niéj skarby utracone wdzięków, i prostotę, któréj wszędzie szukał,—natury. Coraz słabszy, umarł w Wiedniu 1827 roku. Brat jego umarł téż na suchoty.

Szczegóły te z życia chorobliwego *fizycznie*, a potężnego *duchowo* jednakże, czynią zrozumiałym geńjusz, łączący w sobie z melancholią Hamleta, powab odyssejskiéj prostoty i—wesołość sielankową. Czyż tu nie jesteśmy najlepiéj objaśnieni, dlaczego głuchy twórca, w kalectwie swém, uciekał się do muzyki, muzyki wewnętrznéj, w któréj wylewał cały strumień wielkiego swego artyzmu Muzyka albowiem jest jedną ze sztuk, w któréj człowiek najdoskonaléj może się odosabniać i budować sobie ideał nieskończony, daleki od nędz wszystkich rzeczywistego świata. Muzyka Beethovena jest całym takim światem. Szeroka i niezmierna, wyraża wszelkie uczucie w takiéj płodności, z taką cudowną jasnością i z takim wdziękiem, że zawsze odmładniać i pocieszać nas zdoła. Beethovena można nazwać Getem w muzyce, ale Getem, u którego czułość skupia się w osamotnieniu, zamiast się rozpraszać jak u tamtego — w szczęściu. Muzyka jego jest głęboko-ludzką, daje radę i pociechę w boleści, podwaja radość, podnieca miłość i uzbraja nas w bohatérstwo. Do uroku natury, pól i lasów, gór i jezior, dodaje blask duchowéj piękności. Ilekroć nie był w usposobieniu tworzenia, uciekał w pole, w okolice Schoenbrunn i czerpał tam cicho na przyszłe płody, natchnienie. Wyobraźnią i sercem wsłuchiwał się w potężne akkordy nieznanych nam głosów, które miały późniéj tylu ludzi cieszyć i zachwycać!

(*D. c. n.*)

---

## ŚMIERĆ AGNIESZKI BERNAUER

**w 1430 roku.**

Znanym jest zapewne wszystkim z czytelników, co mniéj lub więcéj zajmowali się historyą, straszny dramat z zakulisowego życia XV-go wieku, którego bohaterką była Angieszka Bernauer z Augsburga, potajemnie z synem ówczesnego księcia Bawarskiego, Albrechtem, zaślubiona. Srogi książę, widząc w tém niepolitycznéм małżeństwie swego jedynego potomka z kobietą prywatną, przeszkodę do dopięcia celów, jakie miał we względzie rozszerzenia granic swéj posiadłości, a nie mogąc inną drogą pozbyć się téj pięknéj ze wszech miar i szlachetnéj niewiasty, — postanowił oskarżyć ją o czarodziejstwo, co w owych czasach rzeczą bardzo łatwą było i, jako taką następnie, po wykonaniu nad nieszczęśliwą tysiąca obelg, których dworzanie i sędziowie jego jéj nieszczędzili, — najokrutniéj kazać wrzucić do Dunaju. Rycina na str. 377 umieszczona, przedstawia właśnie dopełnianie nad Agnieszką tego barbarzyńskiego wyroku.

---

# DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

**Tom I.**

(*Ciąg dalszy*).

Sybilla poszła za ojcem do biblioteki, i z bijącém sercem wysłuchała następującéj przemowy:

— Nie potrzebuję ci powiadać, jaki jest cel wizyt hrabiego; ale jeżeli nie masz intencyi skłonić się z czasem do życzeń jego, to sądzę, że lepiéj będzie, by przestał nas odwiedzać. Nie jest ani naszym starym przyjacielem, ani starym znajomym; wszyscy w mieście wiedzą po co tu przychodzi; nie powinnaś się więc kompromitować.

— Lecz ja nie mogę się zdecydować po tak krótkiéj znajomości—zawołała Sybilla.

— On téż tego jeszcze teraz nie żąda—odpowiedział ojciec z uśmiechem; ale ponieważ sprzyjam mu i zgadzam się na jego zamiary, nie chcę aby tu przychodził, jeżeli na twoję przychylność wcale liczyć nie może.

Przyciśnięta w ten sposób do muru, Sybilla zaczęła się bronić ze stanowiska roztropności.

— Ojcze, nic o nim nie wiémy,—rzekła poważnie.

— Ja mam dostateczną wiadomość—odpowiedział krótko—i to od osoby, na któréj zdaniu mogę polegać.

— Od kogo, mój ojcze?

— Od twego stryja.

Twarz Sybilli oblał rumieniec.

— I w istocie dobrze mówi o.. o hrabi?—wyjąkała.

— Jak najlepiéj. Oto list. Czekaj, ta połowa potrzebną mi jest; ale w téj oto znajdziesz wszystko, co ciebie dotyczę. Weź, namyśl się i jutro rano daj mi odpowiedź.

Szybko pobiegła Sybilla z listem trzymanym w ręku, do swego pokoju,—zamknęła się i zaczęła czytać. Stryj Edward tak pisał:

„O tém upewniłem się, że niéma najmniejszéj plamy na charakterze tego młodzieńca. Mało ludzi dochodzi męzkiego wieku tak zupełnie bez skazy, jak on. Według powszechnéj opinii jest bardzo zdolnym, tylko nie miał dotąd sposobności do działania. Nie wątpię, że zasługuje na szacunek i poważanie jakie posiada; a znając go z osobistego z nim kiedyś stosunku, wnoszę, że byłby ci wielką pomocą w interesach. Co się tycze Sybilli, sądzę, że znajdzie w nim czułego i troskliwego małżonka. Syn tak dobry, nie może być złym dla żony swojéj; szczególniéj dla żony takiéj jak Sybilla, młodéj, ładnéj i pełnéj wdzięku. Grzecznym, uprzejmym będzie zawsze dla niéj. Wprawdzie Sybilla ma prawo do wyższych roszczeń; czy on tym roszczeniom odpowié?—wątpię; i gdyby była moją córką..."

W tém miejscu list był urwany i pozostawiał Sybillę w wątpliwości co do konkluzyi. Ale zaprawdę, można było jéj się domyśléć. Stryj Edward był tak sprawiedliwy, iż pisał prawdę o jéj konkurencie, i ta prawda przynosiła mu zaszczyt; ale zarazem zbyt uporczywie trwał w raz obudzoném w sobie uprzedzeniu i nie mógł się z niego otrząsnąć. Nigdy dwaj ci ludzie nie będą przyjaciołmi,—czuła to Sybilla ze smutkiem. Całą noc przepędziła w walce i niepewności, nad ranem zasnęła, a gdy obudziła się, szepnęła jéj nadzieja, słodka zwodnica, że potrafi pogodzić dwóch antagonistów. Miłość dla niéj będzie dla nich niewątpliwą spójnią. Tak więc w chwili oddawania ojcu listu, hrabia Andrzéj de Renneville wziął górę nad stryjem Edwardem.

## ROZDZIAŁ XXII.

Są ludzie, którym się nigdy nie śpieszy, i może dobrze robią nie decydując się na nic szybko. Do takich prawdopodobnie należał hrabia de Renneville. Cały tydzień upłynął, nim się pojawił znowu w Saint-Vincent.

— Oj, gąsko—mówiła Miss Cains—gdybyś zręczniéj postępowała, czołgałby się u nóg twoich na drugi dzień zaraz.

— Wcalebym tego nie życzyła sobie—dumnie odpowiedziała Sybilla.

— Tak; ale moja kaczeczko—bo pewno ci się tytuł gąski nie podoba—wolałabyś być kochaną niż niekochaną! Przyznaj się do tego!

Sybilla jednak nie chciała zrobić takiego zeznania. Życzyć sobie, aby się ktoś w nas zakochał, to już krok ogromny na drodze miłości; wynurzenie zaś takiego życzenia, równa się przyznaniu, że kochamy.

— Chciałabym wydobyć z ciebie odpowiedź—mówiła daléj Miss Cains—No, czegóż się rumienisz?

W ciągu téj rozmowy zbliżyła się do okna pokoju Sybilli i ujrzała hrabiego jadącego stępo.

— Powinien galopować!—zawołała z oburzeniem.

Młodych pań nie przywołano do salonu i hrabia odjechał bez widzenia się z niémi.

— Co za moda!—rzekła Blanka.—Mów co chcesz, Sybillo, nie podobają mi się te francuzkie formy. To mi miłość dopiero!..

— Mnie zaś się to podoba,—odpowiedziała Sybilla. Dobrém jest gdy panny nie porywają podobnie, jak jabłko na gałęzi, które każdy zerwać może. Ładném jest, że o jéj „tak" lub „nie," jak o słowo monarchy, na samym końcu pytają, bo ono jest ostateczném rozstrzygnięciem, bez którego cała praca jest próżną.

— Przez Bóg żywy!—zawołała Blanka—ktożby pomyślał, że ta młoda panienka umié tak ładnie rezonować w téj kwestyi. Doprawdy, więcéj wié odemnie. Dobrze więc, moja droga—hrabia odjechał czy odjeżdża, i podobno za chwilę będziesz musiała wyrzec swoje „tak" lub „nie."

W istocie tak się stało. W półgodziny potém Sybillę powołano do ojca, który jéj zakomunikował, że hrabia de Renneville zrobił jéj ten zaszczyt i prosił o jéj rękę; że p. Kennedy i panna Glyn przyjęli jego żądanie, pozostawiając rozstrzygnięcie reszty, jéj saméj.

— Muszę lepiéj go poznać—odpowiedziała.

— Tak? i ileż ci czasu potrzeba na to poznanie?

— Najmniéj dwa tygodnie.

— I sądzisz, że za dwa tygodnie będziesz o wiele mędrsza pod tym względem? zapytał ojciec z uśmiechem. Lecz niech i tak będzie, niech będzie.

Zaprawdę, nikt nie brał na seryo owych dwóch tygodni Sybilli. Miss Glyn nazwała je śmiesznością, a Blanka śmiała się z nich poprostu; tylko hrabia de Renneville, gdy przybył tego samego wieczora, spoglądał z niepewnością i obawą. Wkońcu nabrał jednak nadziei ze spokojnego i uprzejmego postępowania Sybilli.

Ciężkie zaiste były owe dwa tygodnie próby, w kórych hrabia pokazał się zarazem skromnym i zręcznym kochankiem. Naginał się do zmian humoru Sybilli tak zręcznie, że nigdy nie zaniedbał niczego, coby go mogło w jéj łaskach utwierdzić. Widoczném było dla niéj, że jakkolwiek musiał być świadomy swego wysokiego rodu, dobrego wychowania i przystojności,—wcale nie polegał na tych zaletach i nie zasypiał sprawy. Nie pokrywał wcale nieufności swéj ani przykrości, jaką czuł—i to go dobrze zalecało. Sybilla czuła się monarchinią, zakochaną w swojéj władzy, za szlachetną jednak, by się posunąć aż do tyranii. Dręczyły ją niekiedy różne wątpliwości i obawy, lecz nie zwierzała się z niémi przed nikim. Milczenie Blanki przerażało ją, nie miała jednak odwagi sama go przerwać. Uczyniła to dopiero w wigilią dnia, w którym ubiegł termin naznaczony.

Mis Cains siedziała w swoim pokoju, z łokciami opartémi na framudze roztwartego okna, gdy pocichu do niéj weszła Sibilla. Zachodzące słońce czerwone, pełne blasku, padało na szyby, opromieniając odbitém światłem piękną, jasną głowę i twarz Blanki. Niebieskie jéj oczy zatonęły gdzieś w jednym punkcie, jak to się dzieje kiedy marzymy i Sybilla nie postrzeżona przez nią, zachwycała się jéj piękną i poetyczną postacią. Zbliżyła się wreszcie i dotknęła ramienia Blanki.

Mis Cains obróciła się z lekkiem drgnieniem.

— Myślałam, że jesteś w ogrodzie,—rzekła z uśmiechem.

— Byłam przed chwilą.

— O czém myślałaś Blanko?.. Wyglądałaś tak ładnie!..

— Myślałam, moja droga, że zimna baranina smakuje bardzo dobrze z kaparami i sosem i że, mówiąc takie rzeczy i inne tym podobne, straciłam łaski u panny Glyn. No, nie spoglądaj na mnie z takiém oburzeniem; muszę przecież mówić prawdę. Wolałabyś, żebym powiedziała, iż piękność to zachodzącego słońca zajmowała myśli moje—ale cóżem winna, że to duże wytrzeszczowate słońce nic a nic jakoś do mnie nie przemawia. Pragnęłabym prawie aby zagasło... gdy mi dać nie może świetniejszego losu.

— Blanko droga! twój los się odmieni—jak tylko pójdę za niego! Wszelkiemi siłami starać się o to będę.

Blanka nie odpowiedziała nic na te słowa.

— Blanko, jutro upływa termin dwu-tygodniowy. Pytam cię o radę.

Upłynęła pauza, długa dla bijącego serca Sybilli. Nareszcie panna Cains się odezwała:

— Żądasz mojéj rady, Sybillo?

— Tak.

— Dobrze więc. Nie wychódź za niego.

Sybilla zbladła i tuż zagabnęła:

— Dlaczego?

— Pamiętasz?—Kiedyś powiedziałam, że twarz jego przypomina mi pewien portret historyczny. Nalegałaś na mnie, abym ci powiedziała, jaki? Nie chciałam tego uczynić, i teraz nawet czuję, iż lepiéj by było milczéć najzupełniéj wtedy.

Sybilla spazmatycznie roześmiała się i rzekła:

— Powiédz.

— Ale... bo jeśli już masz postanowienie, ja zaś miałabym wpłynąć na zmianę jego,—to możesz potem żałować.

Miss Cains to mówiąc, bystro patrzała w oczy Sybilli, która blada jeszcze, odrzekła pewnym głosem:

— Nigdy nie będę żałowała, żem poszła za twoją radą.

— A zatém nie wychodź za niego,—powtarzam.

— Dlaczego Blanko?

— Dlatego, że jest zbyt wyrachowany i milczący — dlatego że choćbyś z nim żyła lata całe, nie przenikniesz go nigdy.

— A do kogóż, powiedz mi teraz, on podobnym jest, Blanko?

— E, to bagatela!

— Przyrzekłaś jednakże, że mi to powiész.

— Powtarzam ci, że to drobnostka; ale ponieważ przyrzekłam, to ci mogę powiedzieć. Podobnym jest do Judasza w owym obrazie, cośmy to go raz oglądały—pamiętasz?—do Judasza, który pocałunkiem zdradza Chrystusa.

Sybilla zarumieniła się i przygryzła wargi. Przypomniała sobie ów obraz i rzeczywiście zaczęła odkrywać w hrabi lekkie choć obrażające go podobieństwo do zimnéj, pięknéj twarzy, jaką malarz tam nadał wielkiemu zdrajcy.

— Widzisz, dotknęło cię to,—rzekła miss Cains — Niepowinnam była ci mówić tego wszystkiego, bo zresztą czyż to co ważnego? Judasza na obrazie wymalowano zapewne według wzoru jakiego żyjącego człowieka, który mógł być jednakże najlepszym i najczulszym synem,—istotą pełną poświęcenia,—wiernym kochankiem i tak daléj. Pewien malarz chciał przecie, abym mu pozowała do Lukrecii Borgii—to miłe! nieprawdaż?

— Blanko,—rzekła wzruszona Sybilla,—podobieństwo nic nie znaczy, masz słuszność; ale masz cóś więcéj na myśli. Powiedz prawdę.

— Nie... Zresztą na co to wszystko? Mogę sobie bajać co mi się wydaje, ależ przecie to także nic nie stanowi.

Ulegając natrętnym oczom Sybilli, dodała w końcu.—Zresztą dobrze, powiem ci. Powiem oto, że hrabia jest doskonałym dżentelmenem, lecz że po długiem śledzeniu go i chęci odgadnięcia, nie mogłam docieć, czy rzeczywiście cię kocha i o ile?

Sybilla zarumieniła się znowu i w głos roześmiała, jakby ciężar jaki jéj spadł nagle z piersi.

— Ależ on kocha mnie, kocha! — zawołała. Trzeba ci było widzieć go przed chwilą!

— Co mówisz? co?

— A to to, że uprzedził termin o jeden dzień cały; że prosił mnie o słowo. Dręczyłam go naigrawaniem się z niego — byłam okrutną—drżał, jak listek.

— I cóżeś nareszcie mu powiedziała?

— Nie miałam serca tak go pozostawić. Uśmiechnęłam się—tak jest—tylkom się uśmiechnęła. Lecz on w téjże chwili zapromieniał cały radością, tak, że aż z nim razem poczułam się i ja szczęśliwą. O Blanko!—tak—tak.—Ja nią jestem teraz.

Miss Cains zerwała się nagle na nogi i czerwona z gniewu:

— Obłudnico! krzyknęła.—Jak śmiesz mnie oszukiwać? Jak śmiesz igrać ze mną?

Sybilla cofnęła się aż z przerażenia. Nigdy przyjaciółki swojéj taką nie widziała.

To téż zapewne jéj zdziwione oczy, wstrzymały wybuch gorszego jeszcze gniewu ze strony miss Cains, bo ta, jakkolwiek z obrazą jeszcze, ale już znacznie łagodniéj rzekła:

— Sybillo, raz jeszcze zrób coś podobnego, spróbuj mnie zwieść podobnie, — a opuszczę natychmiast ten dom na zawsze! Maszże śmiałość żądać rady odemnie, gdyś się już zdecydowała i dała słowo?

— Blanko!—rzekła Sybilla drżąc ze wzruszenia—źle postąpiłam. Ale zawsze przenikasz myśli moje i myślałam, że i teraz zrobisz podobnie. Nie chciałam się naigrawać z ciebie, doprawdy!

— Bo téż chyba byłam ślepą, by się dać zwieść tak!—odrzekła na to miss Cains po chwili—Widziałam cię przecież z nim razem przed parą minut. Idjotka ze mnie! — To téż dajmy temu pokój... Jesteś zatém szczęśliwą? On cie kocha? Czy tak?—No tak... Tylko powiém ci coś jeszcze. Oto... że mnie ten pan nie lubi. Moja obecność mu zawsze zawadza. — Takie ja mam do ludzi w ogólności szczęście!

— Ależ on cię lubi i bardzo łubi... zresztą będzie lubił!—zawołała Sybilla. Dość już cierpię nad tém, żem straciła stryja. Czyż myślisz, że wypuszczę z rąk swoich i ciebie? Zresztą wszystko nawet jest już ułożone. Opowiedziałam mu, że mieszkać będziesz z nami. Bardzo chętnie przystał i zgodził się na to. I doprawdy...

Spojrzenie panny Cains przerwało jéj mowę. Było ono poważne, prawie ponure, jeśli ten wyraz da się zastosować do pięknych niebieskich oczu panny Cains.

— Moja kochana—rzekła—czyż ci się nigdy nie sprzykrzy pakować mnie każdemu na plecy? Przyznam ci się, żem strasznie ciężka do noszenia.

— Blanko, Blanko! To wszystko złém jest z twéj strony.

— Nie, moja hrabino, to dobrém jest z méj strony. Czy myślisz, że tak mało cię kocham, iż zechcę się wsuwać pomiędzy ciebie i twego kochanka? Mamże mieszkać w domu człowieka, który ledwie mnie znosić może?

— Wstydź się!—zawołała gorąco Sybilla. On cię ocenia i będzie cię kochał równie jak ja. Twój pobyt u nas, to już rzecz ułożona. Miałażbym cię opuszczać dla niego? On tak jest dobrym, czułym takim! Opowiadał mi o swéj matce; jak on ją kochał i ona go wzajem; jak życzyła sobie związku naszego. Ja mu będę tak samo wszystko o sobie opowiadac a i on mi opowié, co tylko ma jeszcze na sercu. I będziemy mieszkali w starym zamku, a tu przychodzić codzień tylko będziemy, bo podobno on będzie wspólnikiem mego ojca. O Blanko, jakże będę z tém wszystkiém szczęśliwą!

— Tak, moja droga,—rzekła łagodnie Blanka, głaszcząc włosy Sybilli i całując ją w usta — Tak szczęśliwa! tak zakochana! tak dobra!

Spowiedź Sybilli ciągnęła się bez końca. Stara historya! Była najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, a kochanek jéj najczulszym i najbardziéj zakochanym. Żyć będą w nieprzerwaném szczęściu aż do śmierci. Ma jéj przywieść pozostałe familijne djamenty, aby mu powiedziała, jak je oprawić. Należały do jego matki; teraz zaś do niéj należéć będą, nie mógł bowiem znieść tego, by kto inny oprócz niéj tylko saméj nosił je tak ją kochał!

— A jakież to djamenty?—zapytała miss Cains, lubiąca bardzo tego rodzaju kobiéce ozdoby.

— Ma kolczyki bardzo ładne, powiada, i broszę. Były także bransoletki i djadem, ale ojciec jego zmuszonym był ich się pozbyć.

— Kolczyki i brosza! — powtórzyła miss Cains. Szczęśliwa dziewczyno!—i oczy jéj zabłysły, a westchnienie pierś jéj podniosło. Lubię djamenty,—rzekła poważnie—błyszczą, kosztują dużo i długo trwają. Ale powiédz mi, widziałam ładne perły u jego matki. Czy nie wspominał ci o nich?

— Tak jest—naszyjnik z drobnych pereł... bardzo, bardzo ładnych!

— Perły, czarny aksamit i biała narzutka—rzekła Blanka. Ach, cóż to za śliczny, pyszny dobór w ubiorze!

— Wolę sto razy jego samego, niźli jego perły i djamenty—rzekła Sybilla, trochę urażona.

— Bardzo słusznie, moja droga. Lecz chcesz-że, abym i ja to samo czuła? Pozwól mi uwielbiać perły i djamenty.

Nie było nic na to do odpowiedzenia. Sybilla zamilkła. Po chwili zapytała znów Blanki:

— A jakże z meblami? Bo sądzę że w tym starym zamku musi być pusto.

— Mamy tam iść na śniadanie po jutrze, to mu się bliżéj wtedy przypatrzymy. A ty radzić mi będziesz—prawda?—dodała pieszczotliwie.

Miss Cains potwierdziła głową, lecz czyniąc gest ten miała tak znużoną minę, iż Sybilla pomimo całéj swéj ochoty do dalszych wynurzeń, uznała za stosowne pożegnać ją zaraz po tém. Poszła do ogrodu, i tam długo w marzeniach zatopiona, przebiegała samotne ścieżki. Czasem rzuciła wzrokiem w stronę, zkąd wyglądała oknem jéj przyjaciółka, i widziała w niém, w zmroku wieczornym, ciągle jeszcze nieruchomą jéj postać.

— Nad czém tak myśli Blanka?—pytała wówczas sama siebie. Podobną jest w tym względzie do stryja, i podobną w tym jeszcze, że jak on również nie przypuszcza, abym być mogła z hrabią szczęśliwą—Ale zobaczą, zobaczą!.. będę nią, jak królowa w bajce.

*(D. c. n.)*

## Sarna-matka w kniei, karmiąca swoje małe.

(Kopja z obrazu Bodmera.)

Mało jest pracowników w dziedzinie sztuki, umiejących tak wiernie naśladować naturę, jak Bodmer, którego reprodukcyą pod wypisanym u góry tytułem, dziś na str. 384 podajemy. Obraz ten wykonany z niezwyczajną prostotą i, rzec możemy, naiwnością, należy jednakże bez wątpienia do arcydzieł w rzędzie tego rodzaju

prac malarskich. Słusznie też zwrócił na siebie uwagę znawców. Szczegóły jego tak wyraźnie występują przed oczy i myśl patrzącego, iż nie czujemy nawet potrzeby objaśniać je bliżéj czytelnikowi.

# NOWINY.

— Niebo nie przestaje dotykać Francuzów. Przeszłorocznym klęskom ich towarzyszyła zima tak sroga, jakiéj dawno już nie pamiętano. Tego roku, śniegi, których początek tu ledwie widzimy dotąd, spadły już w Lutecyi.... jakkolwiek ta, po staremu, zachwyca się w teatrze *Menus Plaisir* swoją dawną znajomą z czasów usypiającego ich cesarstwa, Teresą.

— U nas koncerta Towarzystwa muzycznego, zyskały bardzo na życiu przez dni kilka, z powodu udziału w nich p. Reinecke, dyrektora Gewandhausu w Lipsku, który obecnie wyjechał już z Warszawy.

— Lecz oto wiadomość dla tłómaczów lubujących się w podobnych farsach, jak „Guzik". Pp. Potron i Nitot zaszczycili scenę paryzką utworem scenicznym, p. t. „Złe charaktery". Komedyjka ta nie maluje wcale owych złych charakterów; bohatérami jéj bowiem są: niejaki p. Chavigny, brutal do *nec plus ultra*, doktor Fremin, osobistość z tegoż dziesiątka i p. Bernardet, oberżysta, który przez całą porę letnią pełni sumiennie miłe swe posłannictwo: obdzieracza podróżnych, a na zimę wybiera się do uciesznego Paryża, by grać rolę barona i karmić łakociami oberżystowską swą godność. Rzecz wcale nie ciekawa; spodziewamy się wszakże, iż łaskawi nasi tłómacze, przyswajający chętnie i usłużnie podobne arcydzieła literaturze naszéj i scenie, będą nam wdzięczni za udzielenie im téj nowiny.

— W Monachium otrzymali medale na wystawie sztuk pięknych pp. hr. Szembek, Piwnicki, Pilecki i rzeźbiarz Barocz.

— Doktor J. Petzold, bibliotekarz prywatny króla saskiego, w grudniu b. roku ma wydać szacowne i znakomicie opracowane dzieło p. t. „*Bibliographia Dantesca*".

— Dnia 4 b. m. na akcie Akademii Cesarsko-Petersburgskiéj Sztuk pięknych, zostały rozdane medale złote artystom, którzy nadesłali prace swe, dokonane według programu konkursowego. W rzędzie laureatów znajduje się p. Kowalewski, syn dziekana fakultetu historyczno-filologicznego w Uniwersytecie warszawskim.

— W Wiedniu utworzyła się wielka spółka drukarska pod nazwą „Slavia", w celu drukowania wszystkich produkcyj umysłowych sławiańskich.

— Przed nowym rokiem odbędą się w teatrze warszawskim trzy benefisy: pań: Modrzejewskiéj i Czechowskiéj i p. Stolpego. Benefisowy program p. Stolpego złożony będzie z trzech sztuk jednoaktowych, na wybór których dotąd się jeszcze stanowczo nie zdecydowano i—z części muzycznéj.

— Teatr niemiecki w Poznaniu, dzięki wnioskowi hr. Königsmarcka, otrzymał od cesarza Niemiec 3000 talarów subwencyi.

— Książe Aumal myśli stanąć do zapasów z uczonym francuzkim, w celu pozyskania krzesła w Akademii. Napisał on dotąd, jak wiemy, jedno tylko dzieło p. t. „Historya ks. Kondeuszów.

— P. Zygmunt Komarnicki, tłómacz kroniki Dytmara, wkrótce zbogaci nasze piśmiennictwo przekładem kroniki Galla z 1130 r. z dodatkiem komentarzy i kilku rozpraw.

— Członek Instytutu Francuzkiego p. Wołowski, w Wielkim teatrze Konserwatorium sztuk i rękodzieł, ma rozpocząć wkrótce odczyty w kwestyach ekonomii politycznéj.

— Artysta tutejszy dramatyczny p. Chomiński, przygotowuje do druku życiorysy wszystkich działaczów sceny warszawskiéj.

— Co też na to powiedzą nasze piękności, tak pysznie wyglądające na wystawie w ogrodzie Saskim, że kiedy cała ich praca umysłowa zasadza się na przeczytaniu 52 N-rów „Bluszczu" i tyluż „Tygodnika Mód", siostry ich w Berlinie zapisują się na kursa chemii!... Oto, gazety niemieckie mówią o trzech takich sensatkach.... Nieprawdaż, że to zbytek emancypacyi?...

— W Paryżu, w salonach wystawy sztuk pięknych, wkrótce wystawione zostaną obrazy, ubiegające się o tak zwaną nagrodę Rzymską.

— W „Illustrirte Zeitung" spotkaliśmy dwie prześliczne reprodukcye z obrazów, wykonanych przez naocznego świadka strasznych scen pożaru w Chicago. Jeden z nich, p. t. „Ratująca się na poddaszu płonącego domu", drugi: „Sceny na ulicy w czasie pożaru". W obu tych obrazach artystyczne pochwycenie całéj grozy niszczącego żywiołu, nakazuje widzowi prawdziwe uwielbienie, obok mimowolnego przejęcia się niedolą nieszczęśliwych ofiar okropnéj téj klęski!...




Sarna-matka w kniei, karmiąca swoje małe. (Kopja z obrazu Bodmera).

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.